

Wiadomości Polskie THE POLISH NEWS WEEKLY

POLITYCZNE I LITERACKIE TYGODNIK

ROK II — NR. 3 (45) — LONDYN NIEDZIELA 19 STYCZNIA 1941

REDAKCJA 36, GREAT RUSSELL ST., LONDON, W.C.1

ADMINISTRACJA: 20, BLOOMSBURY ST., LONDON, W.C.1

CENA PRENUMERATY kwartalnie w Anglii .. .. 6s. 6d. w innych krajach .. .. \$1.50

Należność za prenumeratę prosimy przekazywać czekiem lub „Postal Order” na zlecenie: M. I. KOLIN (Publishers) LTD.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI PIELGRZYMOM 1940 ROKU

Nadchodziła ta wiosna po długim czekaniu, Jak napłył krwi — aż serce gwałtowniej nam biło,

Po zimie, pierwszych listach, po wieściach przemysłnych Co z ludźmi się od Polski przekradły spod gruzów,

Już w kwietniu nad kopułą paryskich wieczorów, Gdy włosy Bereniki na noc się rozplotły,

Po gwiazdach krążył zimny, sztywny blask bez drżenia, Szedł przez chmury, mławicę, jak przez pustą wygon,

Zołnierz nasz gdy się budził w nadmorskim obozie I o świecie z namiotów gdy podniósł brezenty,

Bo od Polski widoczny każdy strzał na wroga Ognista się w powietrzu objawił monstrancją:

Lecz gąsto światło z nieba, w noc ściągnięto warte, Na pomnikach twych wstydem zapłonęła sława,

Tylko w polu po! Orlem rozsięte gromady, Choć wrogów szeregów szczyt osaczał i krył je,

Ach, nikt nie zliczył ile nadziei tam padło Grzebanych z poległymi, ile tam rozpacz Opadało rozbitków, gdy w noc nieodgadłą

Ile sił, gdy odchodząc ostatni z zamętu Jeden po drugim z matni przedzieriał się tysiąc,

Lecz kiedy o zapłatę pytają się wasza Za krew, za trąd, za drogi zmierzone ich stopą,

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI.

STANISŁAW MACKIEWICZ WŁOSI A HITLER

Poprawianie historii jest zajęciem nieproduktywnym. Coby było, gdyby Napoleon wygrał był Waterloo, gdyby Prądyński a nie Skrzynecki dowodził wojskiem powstania listopadowego...

Czemu Norwegia, czemu Holandia nie broniły swej niepodległości wtedy gdy ją obronić mogły? — Bo nie przypuszczały, że jej Hitler zagraża.

Nie ulega naprzykład wątpliwości, że z chwilą zwycięstwa Hitlera nad Anglią, skończyłaby się także niepodległość Włoch.

JEDYNOWŁADZTWO AUTARKICZNE Gdyby Hitler zwyciężył, stworzyłby niewątpliwie system jedyńca i wszystkie nici rządzenia zbiegałyby się do Berlina...

Większe może znaczenie miałyby naziistowskie partie różnych krajów. Sądzę, że byłyby kraje, któreby takie partie posiadały, ale byłyby to przywileje przez Hitlera udzielone.

NIEWOLNICTWO Ludziom zazwyczaj brak jest fantazji w przewidywaniach politycznych. Oto Darré już powiedział, że po zwycięskiej wojnie zostanie przywrócona instytucja „średniowiecznego niewolnictwa”...

ROZWIĄZANIE KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO

Oczywiście, że nie tylko jako katolik, ale jako obiektywny historyk nie wierzę w jakiegokolwiek przecięcie istnienia kościoła rzymsko-katolickiego, ale nie wierzę także w zwycięstwo Hitlera nad Anglią...

OCZYWIŚCIE...

Oczywiście, nawet gdybyśmy na chwilę założyli tak niemożliwe przypuszczenie, jak zwycięstwo Hitlera nad Anglią, w dalszym ciągu nie moglibyśmy się już godzić na dalsze niemożliwości...

być cokolwiek warta, wszelki nacisk na myśl ludzką działa tak samo jak żelazny czepek włożony na głowę dziecka...

WRACAJĄC DO WŁOCH

Ale to, że system hitlerowski nie dałby się nigdy utrzymać, chociażby nawet zwyciężył, nie powinno pocieszać Włochów. Naród ten powinien rozumieć, że każde zwycięstwo Anglików pod Sidą Barrani czy Bardą uzałania ich coraz bardziej od Hitlera.

STANISŁAW MACKIEWICZ.

KONKURS „WIADOMOŚCI POLSKICH” NA PAMIĘTNIK ŻOŁNIERSKI

Nagrody Naczelnego Wodza, Ministerstwa Informacji i Dokumentacji i „Wiadomości Polskich”

- 1. „Wiadomości Polskie” ogłaszają niniejszem konkurs na wojenny pamiętnik żołnierski. 2. Konkurs jest otwarty dla wszystkich Polaków — czynnych uczestników wojny obecnej, na lądzie, na morzu lub w powietrzu, bez różnicy szarż. Pamiętnik może dotyczyć zarówno kampanji polskiej jak norweskiej, francuskiej jak angielskiej, i t.d. i t.d. 3. Forma opracowania jest obojętna, ale rzecz musi być oparta na przeżyciach autentycznych. 4. Rękopis musi liczyć co najmniej 6 arkuszy druku (około 200 000 liter). 5. Rękopisy przepisane czytelnie po jednej stronie kartek papieru (pożądane maszynopisy) należy nadsyłać do wydawnictwa „Wiadomości Polskich” (London, W.C.1, 36, Great Russell St.) do dn. 1 kwietnia 1941 r. w kopertach z napisem: „Konkurs na pamiętnik”. 7. Rękopis nie może być podpisany, lecz musi być zaopatrzone w godło. Do każdego rękopisu należy dołączyć zapieczętowaną kopertę z imieniem, nazwiskiem i dokładnym adresem autora (na kopercie powinno być powtórzone godło rękopisu). Koperty z nazwiskiem autora będą otwarte tylko

- w wypadku nagrodzenia lub odznaczenia pracy. 8. Za rzeczy najwybitniejsze będą przyznane dwie nagrody pieniężne: I nagroda Naczelnego Wodza (£100), II nagroda „Wiadomości Polskich” (£50). Poza tem będzie przyznana nagroda Ministerstwa Informacji i Dokumentacji (£50) za rzecz najlepiej nadającą się do przekładu na język angielski. 9. Niezależnie od prac nagrodzonych, jury może pewną ilość prac odznaczyć; w tym wypadku nazwisko autora będzie także podane do wiadomości publicznej. 10. Wyjątki z rzeczy nagrodzonych zostaną ogłoszone w „Wiadomościach Polskich”. Redakcja „Wiadomości” zastrzega sobie prawo ogłoszenia wyjątków również z prac odznaczonych; w tym wypadku autor otrzyma stosowne honorarium. 11. Rezultaty konkursu będą ogłoszone nie później niż dn. 15 maja 1941 r. 13. W skład jury wchodzi: gen. Bronisław Duch, gen. Marjan Kukiel, Marja Kunciewiczowa, Zygmunt Nowakowski, Ksawery Pruszyński, prof. Stanisław Stroński i Tymon Terlecki.

MARJA PAWLIKOWSKA WIOSNA Z MARSEM NA CZOLE...

To nie święto, to sabat wiosenny. W kraterach Sasanki, kwietne gruczy, jak orzech spowie W liść pierzasty, wykwitły. Barwy są szczególnej, Sino-czerwiennej, jakby tętniącej i żywej; Lodygi ich jak wily ziemisto-różowe Spłątane, w chorej glebie zdają się pierścienić I krew z niej ssać wojenna. Pod lasem, na gruzach Zalozyl gniazdo. Wichrem zasiana konwalia Na progu pustych odzwi bieli się podzwonne; Przekorna plesz poezi... Wśród cejdel i złomów Błyszcząca Panna Wodna patroluje w locie, Strzelisty cud awiacji. Wtem, z okna bez szyby Wyjrzał człowiek-ofiara, człowiek uszkodzony, I na ważkę, za strachem spoglądając, krzyczy, Pomieszane już mając w mózgu swym pojęcia Malości z odległości...

MARJA PAWLIKOWSKA.



# SKARBNICA POLSKA

SZYMON ASKENAZY

## Ostatnie dni księcia Józefa <sup>\*)</sup>

Tymczasem z dniem każdym rósł nacisk moralny. Robiła się pustka dokoła ks. Józefa. Usuwali się jeden po drugim ludzie mu najbliżsi: podał się do dymisji wiceregimistrz Eustachy Sanguszko; opuścił szeregi pod jego wpływem gen. Kniazievich, surowym absytem ukarany przez Poniatowskiego; ustąpił pod wpływem brata płk. Konstanty Czartoryski; oddalił się Zamowski i Mostowski, wcześniej już był oddalili się Matuszewicz; za tym przykładem niewiele później pójść tacy nawet jak Chłopicki albo Chłapowski. Można sobie wyobrazić, jakie chwile przeżywał wtedy ks. Józef w kwatery głównej w Krzeszowicach pod „tańczącym Krakowem”. To nie była sytuacja tak prosta, jak ongi w Kurowie w 1792 r. I wtedy było ciężko, ale to była zabawka w porównaniu z położeniem obecnym. Wtedy wypadło wybierać między Stanisławem Augustem i Targowicą z jednej strony a całym narodem z drugiej; prosty wybór dla Poniatowskiego. Teraz wypadło pójść prawie w pojedynkę z garścią żołnierzy, zerwać prawie ze wszystkimi najlepszej woli przewodnikami na-

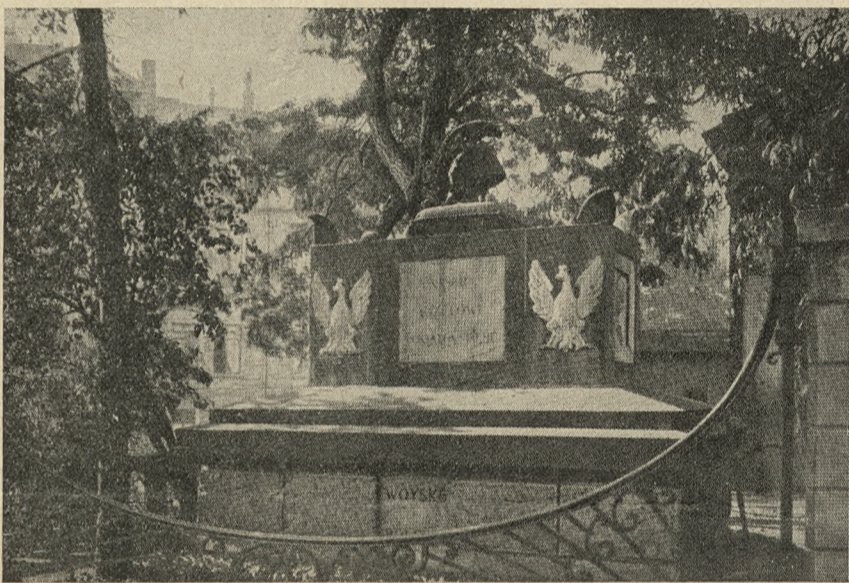
nie tyle trzeźwiejsza rachuba statystów polskich ile calopalne postanowienie polskiego wodza rzuciło realną podwalinę pod Królestwo Kongresowe. Powoli wybierał się Poniatowski z kraju, jak gdyby dobrze czuł że go nie ujrzy już nigdy. Wstrzymał się jeszcze w pochodzie naskutek wieści przychodzących z placu boju oraz sprzecznych instrukcji królewskich i rozkazów cesarskich. Gdyż tymczasem już starły się w Saksonii idące naprzeciw siebie armia francuska i sprzymierzeńca prusko-rosyjska. Pierwsze spotkanie zakończyło się wygraną Napoleona pod Lützen w początku maja. Zaraz z pola walki wyprawił cesarz towarzyszącego mu ciągle Sokolnickiego do ks. Józefa. Cesarz, stropiony podejrzaniem zwrotem Fryderyka Augusta ku Austrii, zaczynał żywić obawy poważne względem zachowania się Polaków. W dodatku, świeżo właśnie przestrzeżony został o krokach Matuszewicza, Mostowskiego i Czartoryskiego, i to aż z dwóch stron naraz: bezpośrednio przez dwór wiedeński, i pośrednio, a najpewniej z tego samego źródła, przez wiernego swego Bignonona.

miał prośbę Czartoryskiego, aby uczynić drugie: a miał świadomość, że to wszystko ostatecznie sprowadzało się do wspólnego mianownika kapitulacyjnego, gdyż rzucenie się do Księstwa, albo pozostanie w Krakowie bez oparcia na Austriakach niczem innym jak kapitulacją zakończyć się nie mogło. Odpowiedzialność jego

chodził on swój ostatni, pięćdziesiąty rok urodzin. Już był prawie stary. Tyle na sobie dźwigał. A pięćdziesięcioletni, zdecydowanie, stroskany, przecie taki jeszcze do końca pozostał młody, pełen swegoistego wdzięku. Nic go lepiej nie maluje niż spisywane z tych tygodni i dni ostatnich skrupulatną ręką Axamitow-

nona o Polsce, niezawodnie z jego natchnienia. Tymczasem korpus polski krótkiego tylko, na schyłku lata, zajął w spoczynku. Z chwilą upływu rozejmu Austrii, ukończywszy swoje zbrojenia, zrzuciła maskę i przeszła do koalicji. Wczorajszy „obrońca” Księstwa, Schwarzenberg, objął dowództwo naczelne nad połączoną armią koalicyjną. Niezwłocznie, od połowy sierpnia, podjęte zostały napowrót kroki nieprzyjacielskie. Znowu stanął ks. Józef jak zwykle na najbardziej narażonym posterunku. Już w początku września uczestniczył w większej, bardzo gwałtownej potyczce pod Lobau. Bronił najpierw w straży przedniej wawozów ceskich przeciw świeżym masom wojsk austriackich debuszującym do Saksonii; następnie, pod koniec września i początek października, w ustawicznych, coraz ostrzejszych a przeważnie pomysłowych utarczkach, wstrzymywał ich pochod w argergardzie, odstupując krok za krokiem a po kilkakroć nagłym naprzód rzutem boleśnie zarywając przeciwnika i utrzymując go w respekcie. W takiej postawie znowa ściana na Lipsk.

nym utwierdził w sobie szacunek dla takiego przeciwnika i sprawy przez niego wyobrażonej. Ale bo też w rzeczy samej, nie Probstheide saską zdobywał tutaj krwią swoją ks. Józef: zdobywał Warszawę przyszłego Królestwa Polskiego w obliczu przyszłego jej monarchy. Utrzymał się raz jeszcze na eksponowanym niezmiernie stanowisku, ale ze stratą ogromną, niepowetowaną w ludziach i ładunkach. A tu tymczasem tego samego dnia na polu bitwy przeszli do nieprzyjaciela Sasi; a tu nadciągnęli świeżo nieprzyjacielskie rezerwy Blüchera i Bernadotte'a. Szale przechylili się ostatecznie na stronę koalicji. Dalsza walka stawała się wręcz beznadziejna. Wieczorem wydał Napoleon rozkaz do odwrotu. Rozpoczął się także nocy ten odwrót fatalny, utrudniony nadzwyczajnie przez samą konfigurację okolicy. Prowadził przez groblę długą, półmłową, wąską, poprzez ośm mostów, ruconych na błotniste koryto Pleissy, Elstery i ich odnog, których płytkie zwykle wody, teraz podniesione jezienną powodzią, wystąpiły z brzegów, tocząc się brudnym, spienionym i rwistym



POMNIK POD LIPSIEM  
wystawiony przez Roźnieckiego w r. 1813

rodu, ze znakomitą większością społeczeństwa. W tem była tragedia. Dodać jeszcze nadobitkę potrzebę, że książe był nekany zwątpieniem o lojalność własnego swego króla, który zdawał się poświęcać i jego, i wojsko, i Księstwo. Był bez dokładnej wiadomości o położeniu i intencjach Napoleona, którego nie opuszczała jeszcze myśl odnalezienia drogi porozumienia z cesarzem Aleksandrem, bodaj przez negocjacje o Księstwo. Nie wiedział nawet czy Napoleon nie weźmie za złe opuszczenie Krakowa i zaniechanie stąd dywersji ofensywnej przeciw koncentracji wojsk koalicyjnych. Szarpał się w tym labiryncie sprzecznych wskazań obywatelskich, politycznych, militarnych. W jego listach z tych dni fatalnych z końca kwietnia i początku maja 1813 r. znać dobrze to szarpanie się i mękę. Ale w tych listach, śród wszystkich wątpliwości, ciągle, co parę wierszy, wracają, jak bisule, do dwa wyrazy: „honor” i „sumienie”, „honneur”, „conscience”. Zdecydował się ostatecznie w początku maja wyjść z Krakowa i Podgórze i ruszyć do Saksonii, do wielkiej armii. Rankiem dnia wyjazdu przyszedł do niego Linowski z ostatnią namową. Został go w łóżku. Wymownie ją mu przedstawiać, że gubi siebie i kraj. Książę słuchał cierpliwie, w końcu wskazał leżąc przy łóżku broń nabitą. „Widzisz — rzekł — te pistolety. Dziś je w nocy dwa razy miałem w ręku, chciałem w leś sobie strzelić, aby wyjść z tak trudnego położenia, ale nakoniec wziąłem determinację, nie odstąpię Napoleona”. Determinacja ta wielka, jak przedtem mniejsza rasyńska — to była osobista, samorodna własność Poniatowskiego, nie wymydlona, ale wyuczona, wynikająca z samej głębi jego natury, z koniecznością nieodpartą, z wewnętrznej koniecznością psychiczną, wyższą ponad wszelki nakaz okoliczności fizycznych. Jego piękna i wysoka, a dotychczas nieraz chwiejna i pospolitująca się dusza, już w tym punkcie dochodząc swego szczytu i kresu, zgola już oczyszczona od wszelkich lichszych przymieszek, jak gdyby skoncentrowana, sklarowana pod ogromnym ciśnieniem dziejowym, sprowadzona do najprostszego, rdzennego swego pierwiastku, doszła tem samem do zupełnego, doskonałego uotożsamienia się z pierwiastkiem rzeczy publicznej. I dlatego to właśnie w tym instynktownym odruchu woli był nie tylko honor i sumienie prywatnego człowieka, lecz była oraz prawda, była mądrość, był nieomylny imperatyw interesu i dobra publicznego. Rycerz bez skazy był czemś więcej jeszcze, stawał się najpierwszym w tej chwili obywatelom, który z powszechnej ruiny siły materialnej wynosił ocalałą siłę moralną, te, koniec końcem, najwłaśniejszą, najrealniejszą potęgę. I tak stało się, że koniec końcem

\*) Z monografii „Książę Józef Poniatowski”.



KSIĄŻE JÓZEF  
portret pośmiertny Bennera

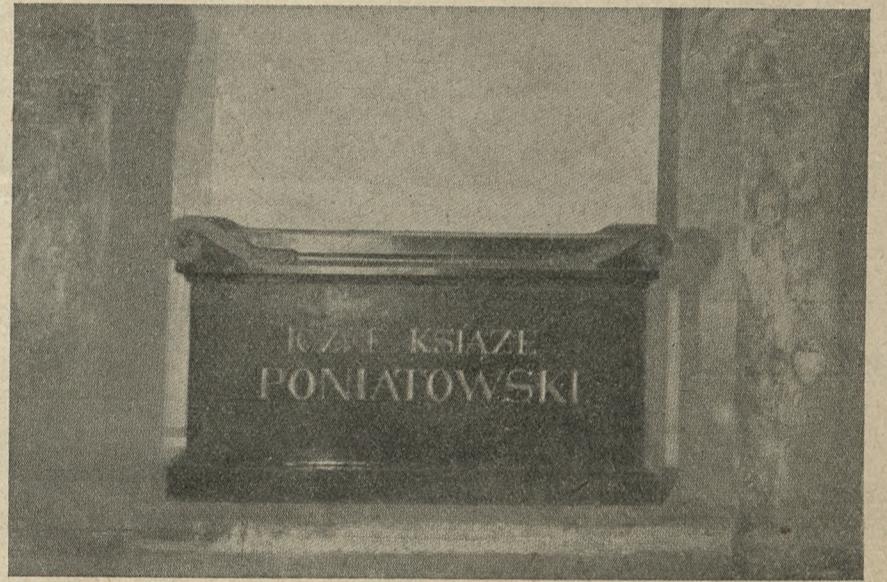
formalna była z tej strony aż nadto pokryta. A tu z tej strony, na odpowiedzialność cudzą, cesarza, towarzyszy, rodaków, ratował życie. On na własną odpowiedzialność wybrał śmierć. Przeczekał jeszcze spokojnie przez dzień jeden, patrząc się na daremne klótnie Sokolnickiego z Frimontem, głuchym na wszystkie dowody i wyrzuty. Poczem, bez dłuższej już zwłoki, swoim wstrzymanym kolumnom nakazał ruszyć dalej w przerwanym pochodzie ku wielkiej armii.

Uciążliwy i niebezpieczny, był ten kilkutygodniowy pochod na Śląsk, Morawy, Czechy, do Saksonii. Z pierwszych etapów chciało nawet raz jeszcze wstecz księcia zawrócić. Austriacy przepisali drogę niewygodną, okólną; nadto w miarę rozgrywania się spóźnione obrótów wojennych oraz nadchodzących nowych dyspozycji od Napoleona wypadło parokrotnie odmieniać marszrutę. Przeciągał tak znowa Poniatowski w ciągłych skrętach, zboczeniach, spoczynkach na Wadowice, Cieszyn, Prerau, Austerlitz, Berne, Kolim do Zittau. Od swoich gospodarzy austriackich gościnności nie doświadczył bijnymniej, a musiał wciąż trzymać się przed nimi nadzwyczaj na baczności. Będącobądź znaczna część jego wojska nie miała pierwotnie bronii na ramieniu. Dopiero w drugiej połowie maja, skutkiem nalegań Napoleona, a głównie dzięki jego pierwszemu zwycięstwu, otrzymał Poniatowski z Wiednia urzędowe zezwolenie na dalszy marsz całego korpusu w pełnym uzbrojeniu. Lecz aż do samego końca pochodu ujawniała się za wola Austriaków na każdym kroku. Zwłaszcza ciężko było na Morawach, gdzie gubernator tameczny, nikt inny jego niefortunny zdobywca Warszawy sprzed lat czterech, arcyksiążę Ferdynand, skorzystał z nadarzonej okazji, by wzywać teraz po swojemu odwet za Raszyn, w najkrwawszych odczynach oficjalnych do „drogiego księcia” Józefa największą czyniąc mu trudnością, odmawiając mu niezbędnego prowiantu i furazju dla wojska. Zresztą nie tylko starano się nękać, lecz także demoralizować osobonimny korpus polski i obok odmowy żywności stosowano wprost namowę do dezercji. Nie obeszło się też bez przykrych stań skutków w szeregach, dokąd zresztą nie mogło nie przeniknąć szkodziące echo tamtych u góry zatargów i odstępstw warszawskich i krakowskich: i poniekąd na podobieństwo onego przebiegłego żołnierza z kampanji ukraińskiej przed dwudziestu laty, wypadło obecnie w marszu na kampanję saską po drodze paru rozstrzelanych dezertorów. Wtedy też w drodze przez Czechy, wstąpił książe na krótką chwilę do Pragi, pożegnał miejsce zabaw dziecińczych, idąc teraz na śmierć. W połowie czerwca dopiero stanął w Zittau: po niemiłej wędrowce śród tajnych wrogów austriackich znalazł się naczęcie na przyjaznej ziemi saskiej; tutaj na jego spotkanie — rzeź zaraz uwieczniona pocziwim ryłem saskiego widza — gremialnie przed miasto wystąpił magistrat, wysypała ludność citawska, witając serdecznie, dzieciom małym pokazując zablakowanego zdaleka, polskiego wodza.

Późna już wybijała godzina w życiu ks. Józefa. W mrocznych chwilach stanowczej decyzji krakowskiej, w sam przeddzień tej ostatniej swojej wyprawy, ob-

skiego majora suche pozycje „ekspensu z kasy podróży J. O. Księcia”. „W Krzeszowicach chłopom... ludziom gospodarskim... książe kazał dać...” — ta pozycja powtarza się bardzo często; również często „ubogiemu... ubogiej kobiecie... książe kazał dać”; „pulkowi VIII piechoty gratyfikacji... dito XV... oficerom na składkę... pulkowi VI piechoty gratyfikacji... dito kompanii pontonierów, saperów... oberżycie za stół dla oficerów... pulkowi XII piechoty gratyfikacji...”, znaczne przeważnie kwoty, z własnej kieszeni, „z trzosa co książe miał w namocie”; znowu „ogrodnicze za bukiety”; „księdzu J. O. książe kazał dać do spowiadania żołnierzy”, w Hermhucie braciom „na kościół”, „ubogiemu wiwandjerowi saskiemu”, „za frukta”, znoszone przez dzieci saskie, „muzyce pulku XV na valetę”, „za rekawiczki damskie”, „żołnierzowi bez ręki książe kazał dać”, „śpiewakom niemieckim” w Zittau, i jeszcze przed samym zgonem pod Lipskiem „en bivac” w lasu J. O. książe żołnierzom kazał dać... Poprzez poważny temat zasadniczo tragicznego dziejowego czynu wdzięczną nutą oboczna przewijało się i towarzyszyło ścicha gasnące echo indywidualnego nastroju i wzięcia się ks. Józefa.

Rozłożywszy się kwatery w Zittau, przystąpił natychmiast Poniatowski do reorganizacji swoich wojsk, zaliczonych już od początku wiosny dekretem cesarskim jako korpus VIII wielkiej armii. Było tego około 14 000 ludzi i 7000 koni. Wypadło dla zbyt słabych kompletów stapiać razem pojedyncze pulki; tutaj także można było dopiero z zakładów drezdeńskich porządnie ubrać i uzbroić wojsko, zaopatrzyć je zwłaszcza w brakująca dotychczas amunicję. Należało skorzystać z przerwy w działaniach wojennych, jaka nastąpiła od początku czerwca przez zawrzenie siedmiotygodniowego rozejmu, przedłużonego później, skutkiem następnej propozycji medycyjnicy austriackiej, na dalsze dwa tygodnie aż do połowy sierpnia. Ks. Józef wprost z Zittau udał się do Dreżna dla widzenia się z cesarzem. Przybycie jego do Saksonii było tyleż pociechą i posilkim, co niespodzianką dla Napoleona. Cesarz bardzo na to nie liczył. On już nawet w przewidywaniu dezercji Poniatowskiego był tworzył dla przeciwnicy drugi korpus polski nad Renem pod Dąbrowskim. Tem serdecznie obecnie księcia powitał. Odtąd dopiero naprawdę poznał go wedle zasług i spełnił ocenę. Wtedy to musiał ostatecznie wyrobić sobie o nim to zdanie, z którym później wynurzył się na św. Helenie: „Poniatowski był prawdziwym królem, łączył wszystkie potemu tytuły i wszystkie talenty; a jednak on zmilczał (il s'est tu)”. Milczał, nie upominał się książe, bo nie po nagrodę on przychodził, ale po swój obowiązek. Zaraz przecie postarał się Napoleon zaznaczyć swoją wdzięczność: dekretem z końca czerwca 1813 r., w rozwinieciu nowej organizacji przydzielonego mu wojska polskiego jako VIII korpusu armii francuskiej, wyznaczył ks. Józefowi jako wodzowi tego korpusu, „te samą rangę co marszałkom Francji”. Odtąd aż do samego końca utrzymywał z nim wprost ożywioną korespondencję bezpośrednią; w sierpniu rozważał piękny memoriał polityczny Big-



GROBOWIEC NA WAWELU  
wystawiony po przeniesieniu zwłok w r. 1817

Tutaj, pod Lipskiem, zamykała się narzecze żelazna obręcz koalicyjna dokoła opuszczonego przez swoją gwiazdę Napoleona; tutaj miały zdecydować się losy świata w wielkiej bitwie narodów. Poniatowski ze swoim korpusem stanął na prawem południowym skrzydle bojowego półkola, zatoczonego przez oszoną armię francuską, oparty na błotnistych łożyskach Pleissy i Elstery, a narażony na najgroźniejsze uderzenie naddiagającej od Czech dwójczesarskiej potęgi. Już dn. 12 października w forpocztowym starciu, sam szarżując na czele pulku III ułanów, został lekko ranny w rękę piłą. W przedmieniu pierwszej walnej bitwy lipskiej, dn. 15 października zrana, przybył Napoleon na prawe skrzydło i obwieścił armii, że mianuje Poniatowskiego marszałkiem Francji. W biuletynie z tegoż dnia wyrażone zostało, iż książe dotychczas „we wszystkich bitwach okrył się chwałą”. Wojsko wystąpiło pod brzoń dla wysłuchania rozkazu dziennego o nominacji; wszystkie sztaby, złożone w deputacji, stały się przed księciem, by powinszować mu buławę marszałkowską, niebawego dotychczas dla cudzoziemca zaszczytu. Czemże jednak dla niego w takiej chwili mógł być zaszczyt podobny? Przyjął łaskę cesarską z powiną wdzięcznością, lecz zresztą z obojętnością zupełną. W pismach i raportach z kilku następnych, policzonych już dni życia, po dawnemu podpisywał się poprostu: general-wódz naczelny korpusu VIII. Zaraz nazajutrz, dn. 16 października, wystawiony był na strażniwą próbę ognia i zniósł ją z nieporuszoną spokojem, wyszedł z niej bez drgnięcia, z nadszodowanym nawet sukcesem. W nierównych całodziennych zapasach, pod naporem ataków frontowych ponawianych od świtu do wieczora głównie ze strony Austriaków, nie ustąpił ani na piędź, utrzymał się na stanowisku, generala austriackiego wziął do niewoli. Ale straty ponosił znaczne, tem dotkliwsze wobec liczebnej przeciwnika przewagi, i sam został ranny kulą karabinową. Dn. 17 października był dniem spoczynku. Z tego dnia mamy jeszcze zachowane ostatnie pismo księcia z pola bitwy, raport o sukcesie wczorajszym, proste, ścisłe, cechowane spokojną przedśmiertną powagą: „nieprzyjaciel nie zdobył ani piędzi terenu... wojsko okazało zapal i wytrzymałość godną podziwu”, ale — dodaje — „straciłem 4 ludzi i nie mam amunicji”. Nazajutrz nastąpił dzień bitwy krytyczny, dla korpusu polskiego najgorętszy. Znow walczył aż do samego świtu. Tym razem atakowały z tej strony głównie kolumny związkowe pruskie. Poniatowski, przeciw dziesięciokrotnej przewadze bronią kłucwa swojej pozycji wsi Probstheide, swoim zwyczajem prowadził osobliście w ognie koleki bataliony dywizji Lizyora Krasieńskiego. Cesarz Aleksander z sąsiedniego pagórka przyglądał się tym nadludzkim wysiłkom i widokiem nacz-

nurtem. Cisnęła się tą groblą, niby przez drugą Berezynę, zwarta masa cofającej się armii, artylerja, piechota, bagaże, ambulanse, jazda; po drugiej stronie, jak zwykle straż tylną, pod czuwającym noc całą Poniatowskim, trzymali Polacy. Wstał zimny, wietrzny, pochmurny poranek 19 października. Siwa, ciężka mgła podnosiła się z bagnistego nadbrzeża, rozkładała po ogromnej równinie, przesycała oparami świeżej krwi, łączyła z mżącym gładziem, przejmującym do szpiku jesiennym deszczem, z dymem palących się przedmieść lipskich i nieustających salw armatnich i karabinowych, tak gęsta, że o kilkadziesiąt kroków trudno było widzieć. Już cała prawe armia na drugą stronę przeszła, kiedy wtem, po II-ej zrana, przedwcześnie wysadzony został w powietrze przez saperów francuskich most na Pleissie. Ks. Józef, mając przy sobie kilkuset ledwo ludzi, nagle został odcięty. Wyczołowywał się on właśnie z zachodniego przedmieścia lipskiego, Borna, na czele szczyplwej eskorty kirasjerów i krakusów, szarżując raz po razie nacierających rojami tyraljerów nieprzyjacielskich. Wtedy po raz trzeci otrzymał postrzał w rękę, lecz owinawszy ją chustką, na koniu pozostał. Otaczający go sztab, generalowie Malachowski, Grabowski i inni, wobec zamkniętego odwrotu i niemożności dalszej obrony, błagali go, aby się poddał, osobę swoją dla kraju zachował. On nie słuchał. Oczy miał krwią nabiegłe, twarz nienaturalnym palającą rumieńcem, znużony był, wyczerpany śmiertelnie, osłabiony od ran, zgorkaczowany, nawpół przytomny; odpowiadał na wszystko: „trzeba umrzeć mężnie (il faut mourir en brave)”. Rzucił się w pław do Pleissy, aby już koniem kierować niezdolny, porwany był siłą prądu. Wpadł za nim do rzeki młody kapitan francuski Bléchamp, w chwili gdy uwalniał się od tonącego konia, i wydobyl na brzeg przeciwny. Ruszył książe gadeł pieszko do Elstery przez błotniste odlegi, już wszędzie napelnione tyraljerką nieprzyjacielską; tutaj po raz czwarty odebrał kulę w bok; ślaniając się, padł w objęcia paru dotrzymanyjących mu jeszcze kroku oficerów, po chwili odzyskał przytomność, doświadczył z trudnością podanego świeżego konia, ale chwiał się na siodle. Ociekał krwią, był już zapewne ranny śmiertelnie, śmierć miał w spojrzeniu i wyrazie; ale na ponawiane błagania towarzyszyów nie odpowiadał już wcale, tylko coś z gniewem uniesieniem mówił bez związku o Polsce i o honorze. Wtem, na widok naddiagającej nieprzyjacielskiej piechoty porwał się raptem sił ostatkiem i skoczył z koniem do Elstery. Tu ostatnią kulę odbiera w lewą pierś, przeszły na wylot, osuwa się z konia i po krótkim pasowaniu się — znikła pod wodą. Tak żył i umarł książe Józef Poniatowski.

SZYMON ASKENAZY.

BOLESŁAW PRUS

ON

Kilka lat temu, około południa, przez jedną z mniej ruchliwych ulic Berlina szli z wolna dwaj ludzie: wojskowy i cywilny.

Wojskowy szedł, a raczej włókł się naprzód, cywilny — o parę kroków za nim. Cywilny był odziany w eleganckie bobrowe futro i błyszczący cylinder, a stapał — jak generał na paradzie. Miał jasne rękawiczki, szare latające oczy i minę człowieka, który pozwala światu nie padać przed sobą na kolana.

Życzliwie patrzył na parę kroków za nim. Wojskowy szedł, a raczej włókł się naprzód, cywilny — o parę kroków za nim. Cywilny był odziany w eleganckie bobrowe futro i błyszczący cylinder, a stapał — jak generał na paradzie.

Życzliwie patrzył na parę kroków za nim. Wojskowy szedł, a raczej włókł się naprzód, cywilny — o parę kroków za nim. Cywilny był odziany w eleganckie bobrowe futro i błyszczący cylinder, a stapał — jak generał na paradzie.

Życzliwie patrzył na parę kroków za nim. Wojskowy szedł, a raczej włókł się naprzód, cywilny — o parę kroków za nim. Cywilny był odziany w eleganckie bobrowe futro i błyszczący cylinder, a stapał — jak generał na paradzie.

Życzliwie patrzył na parę kroków za nim. Wojskowy szedł, a raczej włókł się naprzód, cywilny — o parę kroków za nim. Cywilny był odziany w eleganckie bobrowe futro i błyszczący cylinder, a stapał — jak generał na paradzie.

F. D. KNAŻNIN

DO WĄSÓW

Ozłobo twarzę, wasy pokrętnie, Powstaje na was ród zwieszający; Dworują sobie dziewczęta wstępnie, Od dawnej Polek dalekie chwaty.

Gdy pałasz mierzył cudze granice, A wzrok marsowy sercami wladal, Ujmując wtenczas oczy kobiedę, Bożek miłości na wasach szadiał.

Gdy szli na popis rycerze nasi A męstwem tętnęła twarz obazala, Maryna patrząc szepnęła Basi: „Za ten was czarny — życiebym dała”.

Gdy nasz Czarniecki slynął żelazem I dla ojczyzny krew swą poświęcał, Wszystkie go Polki wielbiły razem, A on tymczasem wąsa podkręcał.

Jana trzeciego, gdy Wiedeń sławił, Głos był powszechny między Niemkami: „Oto król polski co nas wybaczył, Jakże mu pięknie z temi wąsami!”.

Smutek w narodzie dzisiaj odmiany... Rycerską twarz Nice się brzydzi; A dla niej Dorant, wódkami złany, I z wąsa rązem i z męstwa szczydzi.

Kogo wstyd matki, ojców i braci, Niech się z swojego kraju natrzasa. Ja zaś z ojczyzny chluby postaci, Zem jestem Polak, podkręce wąsa.

F. D. KNAŻNIN.

TEOFIL LENARTOWICZ

DUCH SIEROTY

Idzie sobie pachole Przez zagony, przez pole. Wielki wicher, ulewa, A to idzie a śpiewa. Wyszedł z gaju gajony, I ozwie się w te słowy: — Taka bieda na dworze, A ty śpiewasz nieboże?

— Oj długo ja płakala, Gdy mnie nędza wygnala, Gdy ja biedna sierota Drząca stała u płota; Aż raz w nocy niedzielnej Przy dzwoniwym kościelnej Mroz wzeszłaś czwie sciał, I Pan Jezus duszę wziął: Jedna zimna mogiła Moją biedę skończyła, Snyw dzień mnie pochował, On mnie płakał, żalował, On mnie ubrał w sukienki Do tej zimnej trumienki; Teraz nie mi nie trzeba, Idę sobie do nieba.

— O sieroto! o dziecie! Nic ci nie żal na świecie?

— Żal mi jeno tej łaki, Gdzie fijołki i dzwonki; Żal mi słonca w zachodzie, Kiedy świeci, na wodzie, I fujarki wierzbowej Znad zielonej dąbrowy.

TEOFIL LENARTOWICZ.

Życzliwie patrzył na parę kroków za nim. Wojskowy szedł, a raczej włókł się naprzód, cywilny — o parę kroków za nim. Cywilny był odziany w eleganckie bobrowe futro i błyszczący cylinder, a stapał — jak generał na paradzie.

— Patrz, to On!... — szepnął mąż. — Patrz Fryc, to On!... — rzekła żona.

Na ten widok cywilny w bobrach poczał jeszcze piękniej uśmiechać się, kiwał głową i strzyc uszami, jakby cieszył się z ich domyślności i chciał powiedzieć: „Tak to on... a to — ja”...

— Patrz, to On!... — szepnął mąż. — Patrz Fryc, to On!... — rzekła żona. Na ten widok cywilny w bobrach poczał jeszcze piękniej uśmiechać się, kiwał głową i strzyc uszami, jakby cieszył się z ich domyślności i chciał powiedzieć: „Tak to on... a to — ja”...

— Patrz, to On!... — szepnął mąż. — Patrz Fryc, to On!... — rzekła żona. Na ten widok cywilny w bobrach poczał jeszcze piękniej uśmiechać się, kiwał głową i strzyc uszami, jakby cieszył się z ich domyślności i chciał powiedzieć: „Tak to on... a to — ja”...

— Patrz, to On!... — szepnął mąż. — Patrz Fryc, to On!... — rzekła żona. Na ten widok cywilny w bobrach poczał jeszcze piękniej uśmiechać się, kiwał głową i strzyc uszami, jakby cieszył się z ich domyślności i chciał powiedzieć: „Tak to on... a to — ja”...

— Patrz, to On!... — szepnął mąż. — Patrz Fryc, to On!... — rzekła żona. Na ten widok cywilny w bobrach poczał jeszcze piękniej uśmiechać się, kiwał głową i strzyc uszami, jakby cieszył się z ich domyślności i chciał powiedzieć: „Tak to on... a to — ja”...

— Patrz, to On!... — szepnął mąż. — Patrz Fryc, to On!... — rzekła żona. Na ten widok cywilny w bobrach poczał jeszcze piękniej uśmiechać się, kiwał głową i strzyc uszami, jakby cieszył się z ich domyślności i chciał powiedzieć: „Tak to on... a to — ja”...

— Patrz, to On!... — szepnął mąż. — Patrz Fryc, to On!... — rzekła żona. Na ten widok cywilny w bobrach poczał jeszcze piękniej uśmiechać się, kiwał głową i strzyc uszami, jakby cieszył się z ich domyślności i chciał powiedzieć: „Tak to on... a to — ja”...

STANISŁAW STASZIC

MOWA POD POSĄGIEM CZARNIECKIEGO

w Tykocinie, po zdobyciu Krakowa przez wojska polskie w r. 1809

Ten, który nie doznawszy od nas tylko przyjaźni dowodów, nie powinien być mieć dla nas tylko wdzięczności uczucia, okazał, że ma niezmienną na zgubę Polaków narodu zawziętość; ten, który w r. 1772, gdy, niesłuszną napaścią zagrożeni, w nim polżyliśmy zaufanie, nas zdradził i pierwszy, gorsząc w dziejach ludzkich rozbójcu narodu Polaków na ziemi Spiskiej rozpoczął dzieło; ten, który w r. 1794, gdy wśród rewolucyjnych zaburzeń całej Europy my, spokojni, od mieszanina się w zewnętrzne zajścia dalecy, rozdaliśmy w domu kolo własnego szczęścia, kolo ustawy dobrego prawa, stałego rządu i dziełstwa tronu, on wtenczas dokoczył reszty naszego jestestwa zaguby przez zabór odwiecznej naszych przodków ziemi i najdawniejszej naszych królów stolicy; ten, który z wszystkich, co nasz naród gwalcili, obchodzili się nie ludzko z rozbójnymi zdradą męznymi obrońcami naszej ziemi, wrzucając ich do tarasów, a dzielnych i wysłużonych rycerzy i wodzów bez względu na męstwa zaszczyty, na wojskowe stopnie, z sroczą od śmierci wzdargą w ostatnim żołdactwa wypychał kamazę; ten sam, teraz, kiedy ofiarą naszych majątków i życia odzyskałszy przynajmniej kawał ojczyznej ziemi i na niej już cząstką naszego rodu ma przeciw swoje jestestwo, ma niepodległość, odzyskała irodowitość i imię Polaka — ten sam znowu pierwszy ze odrodzenia się naszego ziemi napadał, żadnej, jak sam wyznaje, nie mając przyczyny. Chcę stać się na naszej ziemi obrońcą praw narodów! W tym zamiarze nachodził nas wojna, by znowu obdarł z narodowości, z imienia, by znowu oddał Polaków pod jarzmo Niemców. Jakież u niego być muszą wyobrażenia prawa narodów! Od czterdziestu lat gwalciciel polskiego narodu chce być obrońcą praw narodów!

O, jak w tych wyrazach ukazuje się głęboko zakorzeniona, nierozważna, krnąbrna względem nas wzdarga i dumia! On mniema, iż lud nasz czuń nie dumie, czem jest niepodległość. Jakby na szczyderstwo przemówił do nas, że nam niesie opiekę, chcąc nam odebrać jestestwo, imię, język, prawo i króla, chcąc zamienić z innymi braćmi w niewolników, obrać z majątków, wyciągnąć wszelki pieniądz gotowy, nadać nie niewarte papiery; chcąc nas odrzucić od wszystkich krajowych urzędów, a uczynić niewolnikami swoich poddanych; chcąc na wieki wtrącić mężnych synów naszych w nieszczęśliwy stan Iłotów, w którym już nie dla swojej ojczyzny, nie dla swojego narodu sławy, ale krew Polaków za nie wazona ma być przelewana dla Austrjaków zaszczytu, dla coraz większego utwierdzenia ich jarzma nad naszymi karkami, dla ożywienia i drogo wtrójnasób oplacania się naslanym na funkcje i urzędy hurmum cudzoziemców. Chcę, abyśmy utracili wszystko, cośmy okupili tak drogo, cośmy

bo spóźnią się na pociąg do Hamburga i okręt bez nich pojedzie do Ameryki...

Olbrzym zmarszczył krzaczaste brwi i odwrócił się w inną stronę. Wnet przeciw kamienna twarz jego rozjaśniła się: zobaczył bowiem trzech bardzo małych chłopców, z których jeden miał pałasz, drugi — dzierżynową karabin, a trzeci — tornister i papierową pikielhaube. Blysnęła mu niewyraźna myśl, że choć kilku desperatów wyjedzie do Ameryki, jednakże na ich miejsce z tych oto dzieci wyrosną nowi zdobywcy.

Nagle cywilny w bobrach skoczył naprzód z taką gwałtownością, że zachwiał mu się cylinder. Zdarzyła się rzecz niesłychana. On, sekretarz, powiernik i biograf wielkiego człowieka, nie spostrzegł, że jego pan zatrzymał się na ulicy...

Stał, stał i patrzył — a sekretarz nie mógł nawet odgadnąć na co patrzy? Jest tu wprawdzie sklepik z kolonialnymi towarami, ale czyżli On nie zna cynamonu, muszkatołowej galki, a choćby i kokosowych orzechów?... Na cóż więc patrzy?...

W tej chwili olbrzym ścisła westchnął. Nieba!... On westchnął?... Sekretarz nie wierzy własnym uszom. Obchodził pana z boku i na jego twarzy widzi nieomylnie znaki wzruszenia... Czyżby go wzruszył cynamon?... — o mało nie krzyknął biograf, zobaczysz w głębi sklepu małą choinkę, obwieszoną kilku piernikami... Jego tak rozmarzył widok choinki ubogich... Cóż to za poetyczna dusza!... Byle tylko nie wymyślił nowego podatku na ubogie dzieci!...

Nareszcie olbrzym odszedł od sklepu, z takim ruchem, jakby mu było trudno oderwać się od — choinki.

„Teraz już wrócimy do domu — pomyślał sekretarz, ciesząc się w duchu, że do biografii przybywa jeden z najbardziej interesujących rozdziałów... On rozmarzył się wobec choinki!... Czy nie piękny temat?... Wspomnienia z lat dziecińczych, unoszące się nad krwawym szlakiem od Saarbrücken do Paryża... Niema wydawcy, któryby tego rozdziału nie kupił na wagę stumarkowych banknotów!...”

Sekretarz, przywykły do trafnego odgadnięcia publicznych i prywatnych projektów pana, miał już cały pomysł w głowie. Oto On, zmęczony nocną pracą,

wyszedł około południa na spacer. Był nieco zdenerwowany, a więc przystępniejszy dla ludzkich uczuć. Widok przedświątecznego ruchu usposobił go jeszcze lepiej, a choinka — rozmarzyła do reszty.

„Jestem pewny, — myślał sekretarz, — że ta choinka stanie się źródłem mnóstwa nowych projektów dla klas pracujących, a może i... gratyfikacji?... Oj! ci wiecej ludzie... — szepnął sekretarz. — Ani wiedza, jak łatwo przychodzi odgadrywać ich zamiary tym, którzy dokładnie zbadali mechanizm genjuszu!...”

W tem miejscu sekretarz nie mógł powstrzymać się od złożenia holdu swojej przenikliwości. Jednocześnie obrzucił okiem Berlin i spostrzegł, że mu się jego pan znowu wymknął. Wprawdzie tylko o kilka kroków, gdyż od swego sekretarza i biografu człowiek dalek uciec nie może.

Tym razem wojskowy stał przed straganem z zabawkami, gdzie chudy i zmazy kupiec gromadce ciekawych zachwalał swoje towary.

— Oto jest pociąg kolei żelaznej, który sam jedździ — cztery marki!... Oto jest słoń, który sam chodzi i ryczy — dwie marki!... Nakreca się ogniem... Oto jest pajac za dwadzieścia fenigów!...

Kolej i słoń mogli widzieć tylko ludzie dorofli, bo zabawki te biegaly po stole. Ale pajac wisiał w górze. Miał odzienię, złożone z płatów niebieskich, ponsowych i złotych, spiczastą czapkę, a w ręku dwie blachy. Gdy kramarz pociągnął za sznur, pajac rozrzucał nogi, uderzał w blachy, przewracał oczyma i pokazywał język.

— Ach! jaki on śliczny! — odezwał się w tej chwili dziecięcy głosik.

Wojskowy spojrzal w tę stronę i zobaczył jasnowłosego chłopczyka, który, zadarzył głowę i złożywszy ręce, patrzył na pajaca jak na cud. Ile zaś razy pajac mocniej wyrzucił nogą, albo lepiej wysadził język, chłopiec śmiał się na cały głos, uderzał w ręce i wołał:

— Ach, Boże! Boże! jaki on śliczny... Radość dziecka była tak wielka i szczerą, że udzieliła się całej gromadce widzów. Nawet wojskowy olbrzym uśmiechnął się pod wąsem i — wydobył z kieszeni sakiewkę.

„Kupi chłopcu pajaca!...” — pomyślał sekretarz w bobrach, nie mogąc w dalszym ciągu powstrzymać się od kilku słów uznania dla swojego niepospolitego zdol-

ności, które pozwalały mu odgadrywać najdrobniejsze zamiary sfinksa XIX wieku.

W tej samej jednak chwili twarz wojskowego zachmurzyła się znowu. Prędko schował sakiewkę do kieszeni i odszedł od kramu.

Pajac tymczasem wciąż skakał i wywracał oczy, mały chłopiec śmiał się, a sekretarz myślał: „Chciał kupić malcówi pajaca na choinkę, ale spostrzegł, że go poznali, dał pokój... Oj! ta popularność!... Ja jednak — ciągnął w duchu sekretarz — mam prawo napisać, że pajaca kupił i darował dziecku ze słowami: „Masz, mój mały, to dają ci Niemcy na gwiazdkę!...”

W pół godziny później wojskowy pan i jego sekretarz byli już w gabinecie... Sekretarz stał przy biurku, a wojskowy siedział w wysokim fotelu i palił fajkę.

Była to chwila, w której biografom wolno zadawać niedyskretne pytania. Sekretarz skorzystał z niej i rzekł: — Dzień dzisiejszy będzie dla mnie pamiętny. Dawną już nie widziałem waszej książkowej mocy w takim świątecznym nastroju ducha.

— Tak! — odparł powoli wojskowy. — Ten spacer przypomniał mi o kilku sprawach. Zaczynam już spotykać emigrantów do Ameryki nie tylko w raportach, lecz — i na ulicach...

„Gadaj innym o emigrantach! — pomyślał sekretarz. — Przede mną nie ukryjesz swych uczuć!...”

A potem dodał głośno: — Jestem pewny, że widok tej choinki obudził w księciu jakieś mile wspomnienia z lat dziecińczych...

Książę podniósł głowę. — Jakiej choinki?... — Też... w sklepie kolonialnym — odparł domyślny biograf, dyskretnie patrząc w ziemię.

Książę puścił ogromny kłęb dymu i niespokojnie poruszył się w fotelu. — Ach, tak!... — westchnął — ten sklep i nasi emigranci, wyjeżdżający z domu na Boże Narodzenie, to ciekawa ilustracja niemieckich stosunków. Każdy taki sklep jest kasą, w której Holandia pobiera od nas haracz... Śmieszna historia, żeby Niemcy nie mogły mieć u siebie nawet laski cynamonu, na której nie położyłaby pieczęci Anglja, albo Holan-

dja... Holandja! mniejsza od Brandenburgji, a jednak podoba się jej mieć kolonie prawie cztery razy rozleglejsze od całych Niemiec!... No — i posiada je, a my pewnego poranku musielibyśmy pić na śniadanie cykorję zamiast kawy, gdyby tak się podobało Holandji...

„Wiec nie choinka go wzruszyła, tylko... holenderskie kolonie?” — pomyślał markotny sekretarz.

Wzburzony olbrzym pociągnął kilka razy dym z giętkiego cybucha; powoli jednak nabrzmiałe na czole żyły pobladły mu, i uspokoił się.

— Uważalem, — rzekł sekretarz, — że księciu podobał się ten mały chłopiec przed pajacem?... — A, tak! to był tego zbudowany małeć! — odparł książę, z uśmiechem znawcy mięsa dla armat.

— Zdawało mi się nawet, że książę miał zamiar ofiarować mu pajaca? — No, alem przeciw tego nie zrobił — odpowiedział olbrzym.

— Czy książę sądzi, że świąteczne podarunki nie są stosowne dla niemieckich dzieci? — Przeciwnie... Zresztą dałem mu najlepszy podarunek, jaki mógł dostać. Sekretarz spojrzal ciekawie.

— Dalem mu — niezaspokojone pragnienie — odparł książę, a potem dodał: — Im więcej będzie takich pragnień, tem dla nas lepiej!

— Przed jedenasty laty jednak, w Wersalu, byłeś książę laskawczy dla malej Francuzki, która dostała od niego lalkę? — Bo widzisz, im więcej — tam będzie zaspokojonych pragnień, tem znowu dla nas lepiej!

To powiedziałwszy, książę odwrócił się i utopił wzrok w wiszącej mapie kolonii holenderskich. Sekretarz posmutniał, może słusznie domyślając się, że w tym kraju, gdzie mały chłopiec naprzędno tęskni do pajaca, a wielki kanclerz do holenderskich kolonii, sekretarze, zamiast gratyfikacji, mogą otrzymać na gwiazdkę podarunek — z niezaspokojonych pragnień...

BOLESŁAW PRUS.

RYSZARD BERWIŃSKI

PROLOG

Śpieszmy — za chwilę kraj nas powita, Gdzie lepsza przeszłość z grobów wykwiła, Kraj cudów, czarów, wroku! Pamięć, co skarbu przeszłości strzeże, Zwolta tań króle, dawne rycerze, Z dawniejszych dziejów pomroku.

Ciemie, czarowną zaklecie władzą, Powstana z mogił i przeszłości zdradzą, Ukryta w tajniach grobowych; I wyrzym stare, szorstkie postaci O długich brodach, w ojczyznej szacie W helmach i gielach stalowych;

Ujrzym tam хорды w meskiej prawicy, Usłyszym pieśni Boga-Rodzicy, Szczęgą bronie, kopyt łęgienia; Ujrzym, gdzie ziemia krwawą ojcowi złama, Życiem kępniona, kosmiemi zastana, Meskie ich cnoty pamięta!

I znowu ujrzym w świetle miesiąca, Jak Gopla fala przejrzysta i drżąca Chorem się dzievicz zabieli; I znowu usłyszmy, jak ciche dźwięki Czarownej, nocnej, dźwiękiej piosenki Zabrzmia na Gopla łopielu...

Głos jej popłynie po śnieżnej toni, Myśl się wiać w ciemną przeszłość pogoni, Iskrę w pomroku rozżarzy; Wśród broni szęku, wśród bitew wrzawy, Wśród pieśni dawnej wielkości, sławy, O przyszłych losach zamarzy...!

RYSZARD BERWIŃSKI.

WIKTOR GOMULICKI

NIE ZAPOMNIMY...

Nie zapomniemy o was, Smutne lesne groby; Nie zapomniemy o was, Chmurne dnie żaloby; Nie rzucimy za siebie Szal znoszonych czerni; Nie rzucimy za siebie Z wienców naszych cierni.

Nikt się z nas nie wyrzeczy Po prozachk puściny; Nikt się z nas nie wyrzeczy Rany ani blizny; Nikt nie wypłeni z serca Wieków starych pleśni; Nikt nie wypłeni z serca Starych wieszczeń pieśni.

Ale wczymy rozbrat Z sercem jadawitem; Ale wczymy rozbrat Ze złością i zgrzytem; Ale się odzegnamy Od zemsty płodzenia; Ale się odzegnamy Od krwi i płomienia.

I potrząśniemy kwieciami Smutne lesne groby; I potrząśniemy kwieciami Chmurne dnie żaloby; I powierzymy Bogu Sze ziemskie zaręgi; I powierzymy Bogu Swe jęki i szargi.

STANISŁAW STASZIC.

WIKTOR GOMULICKI.



## SUKCES MALARKI POLSKIEJ W LIZBONIE

Lizbona, w grudniu 1940.

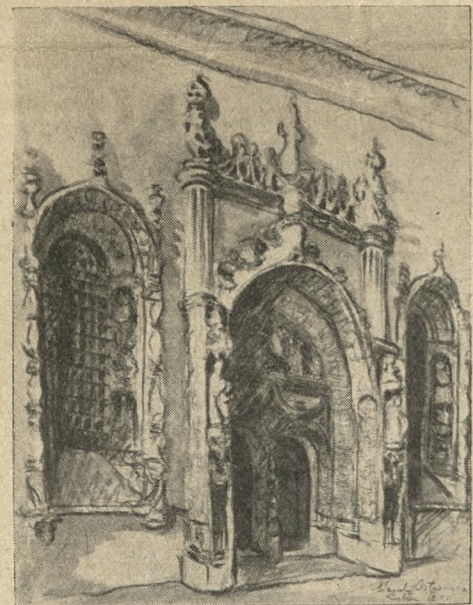
Portugalia stanowi dla uchodźców etap, na którym zatrzymują się dłużej lub krócej, aby potem drogą morską jechać, bądź do Anglii, bądź do różnych krajów zamorskich — jak dotąd, głównie do Brazylii. Pierwsza, największa fala uchodźcza dobieła do Portugalii w końcu czerwca, bezpośrednio po klęsce Francji, następnie były znacznie słabsze, a dziś można mówić tylko o jednostkach, które przybywają na teren tego



pieknego kraju. Gdyby złożone sprawy wizowo-finance można było szybciej rozwiązywać, liczbę uchodźców polskich, przebywających w Portugalii, mierzyłoby się nie na setki, lecz na dziesiątki.

Etapowy charakter Portugalii nie stwarza warunków do pracy uchodźcy. Wszyscy „zajęci” są, poza kłopotami materialnymi, staraniami o wizy, pieniądze, korespondencją z Krajem i ze znajomymi w państwach zamorskich, na których pomoc, radę, słowo, wyczekują często caemi tygodniami. Tylko nieliczne jednostki zdolne są w tych warunkach do wartościowego wysiłku twórczego.

Do wyjątków tych należy zaliczyć Wandę Ostrowską, której dwutygodniowa wystawa stała się prawdziwym wypadkiem w życiu kulturalnym Lizbony. Ucenica Krzyżanowskiej i Szuhaiewa, w 51 obrazach oraz w licznych kartach pokazała zabijki i fragmenty architektoniczne Lizbony i jej okolic, posilując się czarną kredką oraz tuszem z akwarelę. Operując z mistrzostwem temi środkami, idąc śladami niezapomnia-



negu Noakowskiego — uniała z każdego fragmentu wydobyć jego treść istotną, skupiła się na niej, traktując resztę jedynie jako niezbędne uzupełnienie całości. Na obrazach Ostrowskiej przemówił swym specyficznym, malarskim stylem wyjątkowy portugaljski gotyku, dostojne rzeźby sprzed wielu stuleci, barwne uliczki i zaułki starych dzielnic pogodnej, malowniczo rozrzuconej na wzgórzach i w nadmorskiej dolinie — Lizbony, 25000 osób zwiędziało wystawę.

Jednym z entuzjastycznie tam prasy portugaljskiej i „przesiedź” polowy obrazów świadczyły o wyjątkowym sukcesie („pleno triumfu”) malarskiej polskiej. Jeden z najrozleglejszych dzienników „Diario de Lisboa” poświęcił wystawie artykuł zatytułowany „Uma grande artista”. Inny wielki dziennik, „Diario de Noticias”, podkreślił, że znakomite impresje malarskie Ostrowskiej oddają właściwości architektonicznej kultury portugaljskiej z rzadkiem u cudzoziemców zrozumieniem. „Uma ilustração aquarelista” podbiła wstępnym bojem całą kulturalną Lizbonę, przysparzając sobie i imieniu polskiemu zasłużoną sławę.

Na portugaljskim etapie swej tułaczki wędrowki uchodźczy polscy — jeśli o sztukę chodzi — zapisali się dobrze w pamięci gościnnego narodu. W lecie we wszystkich większych miastach Portugalii, z Lizboną na czele, zbierał triumfy Małuszynski. Fiteberg dyrygował przed wyjazdem do Brazylii orkiestrą. Zakowska śpiewała w radio pieśni polskie. Teraz Wanda Ostrowska zaprezentowała godnie malarsko polskie.

TADEUSZ KATELBACH.

## Gen. Sosnkowski o Wielkopolsce

Gen. Sosnkowski przesłał Komitetowi Obchodu Rocznicy Powstania Wielkopolskiego następującą depeszę: „Nie mogąc przybyć osobiście, łączę się z uczestnikami obchodu w słowach pamięci i holdu dla poległych, w słowach najgłębszej wiary w zwycięstwo dla żywych. Wielkopolska, ta ziemia gorącego umiłowania ojczyzny i twardej pracy dla Polski, i dzisiaj przoduje całemu narodowi, wzbudzając podziw swą niezguczną postawą. Prarodźca ziemia Piastowa po ukończonej walce z odwiecznym wrogiem obejmuje straż na zachodzie, powiększona i rozszerzona, jeszcze wspanialsza i bardziej jeszcze ukończona”.

## ROZMAITOŚCI



(„Time and Tide”)

— To wszystko i jeszcze niebo! (aluzja do tytułu filmu wyświetlanego z wielkim powodzeniem w Anglii)

opowiada następującą historię, której bohaterem jest jego podwładny Sir Walter Moneton.

Przy wejściu do ministerstwa, Duff Coopera zatrzymał wartownika żądając okazania legitymacji. Minister wyjaśnił kim jest, lecz wartownik był nieustępliwym.

— Żaluję, — powiedział, — ale musiałbym zobaczyć legitymację pana, nawet gdyby to był sam Sir Walter Moneton.

Kilku londyńczyków wybrało się w Boże Narodzenie na polowanie w jednym z okrugów Anglii. W pośgu za zającem zapuścili się w gęstwinie, gdzie znaleźli znacznie grubszą zwierzynę. Wśród drzew leżał roztrzaskany ciężki bombowiec niemiecki a w nim pięciu martwych lotników. Ile takich niespodzianek kryje się jeszcze w rozmaitych zakątkach Anglii, Szkocji i Walii?

„Anglia zapłaciła już Stanom Zjednoczonym życiem i krwią swój dług wojenny” (senator Josh Lee).

Popularny autor powieści detektywnej, E. Phillips Oppenheim, przebywał na mimowolnym wygnaniu w Cannes i uskarża się podobno na szalejącą drożyznę. 74-letni pisarz ma na swym sumieniu ponad 150 książek, które przyniósł mu niezła fortunę. Pasaż jego życia, poza pisaniem książek, był hazardem. Oppenheim opracował nawet

system gry w ruletkę, i udało mu się raz rozbić bank w Monte Carlo. Hazard pozostawiał mu jeszcze dość pieniędzy na utrzymywanie czterech domów: w Anglii, na wyspie Guernsey, w południowej Francji oraz na Jamajce. W każdym z tych domów Oppenheim miał sekretarkę, której dyktował swoje powieści.

Tajemnica jego ogromnej płodności polega — jak sam twierdzi — na tem: przesiadywał godzinami na tarasie kasyna w Monte Carlo, czekając na pojawienie się jakiejś interesującej twarzy. Tej twarzy dawał nazwisko, zawód, znajomych i przyjaciół, a potem puszczał wodzę fantazji. W kilka godzin szkic książki był gotów, po paru tygodniach rękopis znajdował się u wydawcy.

Hitler zbombardował swoich wydawców londyńskich, i firma Hurst and Blacket, która ogłosiła tłumaczenie „Mein Kampf” u, musiała przenieść się do nowej siedziby. Inna rzecz, że dyktator nie na tem nie stracił, gdyż dochód ze sprzedaży jego książek od chwili wybuchu wojny przekazywany jest na Czerwony Krzyż.

Pamiętacie potwora z Loch Ness, który corocznie pojawiał się na łamach prasy światowej w okresie ogórkowym? Obecnie rozgłoszona Radio-Paris podaje nowe interesujące szczegóły o tem mitycznym stworzeniu. Padło ono ofiarą miny niemieckiej, i morze wyrzuciło jego szczątki w rozmaitych punktach wybrzeża Szkocji.

W kołach bankowych twierdzą, że bomba zagarowała, to bomba podstatowana.

ALFA.

P.S. — Tłumaczenie z angielskiego nie jest łatwą rzeczą. Pewien znany literat polski przełożył raz „spotkali się w cyrku Oxforda” zamiast w Oxford Circus. Ktoś inny pisał o „słodkim mięsie” („sweetmeats” — słodycze) oraz o „wysokich podatkach drogowych” („heavy road toll” — duża ilość wypadków na drogach). Autor „Rozmaitości” także palną niedawno gwłstwo. W nr. 41/42, komentując zdanie „tell it to the marines”, nie dodał że ma ono jednocześnie sens: „opowiedz to babcie”.

Kilku czytelników słusznie zwróciło na to uwagę. Alfa zaslania się Freudem: niewiadomo dlaczego w Anglii istnieje mniemanie że „marines”, żołnierze należący do specjalnej formacji przydzielonej do floty, są niebylewał latwoiwni i wszystko dadzą sobie wmówić — stąd pochodzi przytoczony zwrot. W obecnych czasach, gdy brytyjskie siły zbrojne spijają się tak dzieknie, jakieś ukryte hamulce — twierdzi Alfa — nie pozwoliły mu na przetłumaczenie wspomnianego zwrotu w jego niepocholebnym dla „marines” brzmieniu.

## POSZUKUJEMY „OZIMINY“ BERENTA

„WIADOMOŚCI POLSKIE”, LONDON W.C.1, 36, GREAT RUSSELL STREET

## LALKI POLSKIE DLA KRÓLEWIEN ANGIELSKICH



Lalki, ofiarowane córkom Króla Jerzego VI na gwiazdkę przez Prezydenta Raczkiewicza. Lalki wykonała Stefania Przeworska według projektu Ireny Łukaszczykiewiczowej.

## KORESPONDENCJA

### CZECHY A POLSKA

Do redaktora „Wiadomości Polskich”

Uważam się za dawnego polonofila, który zawsze uświadamiał sobie, że istnienie niepodległego państwa polskiego i czesko-słowackiego zależne jest od siebie nawzajem.

Warunkiem trwałego zbliżenia obu narodów jest dokładne wzajemne poznanie się. Dlatego już od kilku lat jestem prenumeratorem kilku czasopism polskich. Z literatury polskiej, którą starałem się poznać w miarę możliwości, największe wrażenie wywarły na mnie „Trylogia” Sienkiewicza, „Placówka” Prusa, „Noce i dnie” Dąbrowskiej, „Wyraźny chodnik” Morcinka, „Świat powojenny” i „Przewrót” Dmowskiego.

W celu dokładnego poznania ziem polskich podróżyłem na rowerze jako akademik do Warszawy i przeszedłem pieszko całą przestrzeń od niemieckiego Bytomia aż do Gdyni. W Danji miałem sposobność przekonać się o wzorowej opiece nad polskimi emigrantami i zwiędzialem kilku tamtejszych gospodarstw rolnych.

Interesowałem się zawsze zagadnieniem mniejszości polskiej w Czechosłowacji. Wśród Polaków zamieszkujących Czechosłowację miałem wielu znajomych.

„Wiadomości Polskie” prenumeruję od chwili, kiedy dowiedziałem się o nich, i czytałem starannie wszystkie artykuły. Wiele trosk i zagadnień mamno wstępnych i dlatego jest rzeczą niezmiernie ciekawą, jak każda strona stara się je rozwiązać i pokonać.

Zwłaszcza z wielkim zainteresowaniem czytałem „Skarbnicę Polską”, która spełnia doskonale swe literackie zadanie i zarazem umacnia wiarę w ostateczne zwycięstwo.

Jako obiektywny obserwator zystawiam się nad faktem, że przeważna część klasykowskich dzieł literatury polskiej, zamieszczonych w „Skarbnicy”, uważa „Moskali” za głównego wroga polskiego narodu, podczas gdy — według mojego zdania — pomija daleko niebezpieczniejszego i okrutniejszego wroga germańskiego.

Może nadechdzi właściwy moment polityczny, kiedy polska granica zachodnia zostanie wykreślona według życzenia i rzeczywistych potrzeb polskiego narodu, wyrażonych tylekroć przez wielkich polskich przywódców politycznych: Koriantego i Dmowskiego.

Nieprzejądziełski stosunek do Rosji, zdaje mi się, nie może przynieść oczekiwanych wyników i nawet utrudnia polityczną i wojskową sytuację naszego największego sojusznika, Anglii.

Deklaracja polsko-czechosłowacka z dn. 11 listopada b.r. jest pierwszym promieniem szerszego współzycia bratnich narodów, polskiego i czesko-słowackiego. Postanowienie o braterskiej jednoci musi nam wszystkim wejść w krew i zakorzenie się w zastygmie w naszych sercach i umysłach.

Koło Opieki nad Żołnierzem w Londynie prosi czytelników „Wiadomości Polskich” o odnośnienie przesyłanych numerów do Koła Opieki nad Żołnierzem, 53, New Cavendish St., London, W.I, celem przesyłania ich do obywateli i szpitali, gdzie znajdują się żołnierze-Polacy. Biuro Koła Opieki nad Żołnierzem czynne jest we środy i piątki w godz. 11—12.

Drogą do urzeczywistnienia tego celu musi być jak najbliźsze wzajemne poznanie się. Nie wolno nam dopuścić do tego, żebyśmy się jeszcze raz w przyszłości dali poróżnić przez niecne intrzygi odwiecznego wroga, t.j. Niemców, i to jedynie dlatego że nie poznaliśmy się wzajemnie.

Praktyczne zbliżenie powinno się już teraz dokonywać drogą wymiany różnych artykułów prasowych, odczytów w obozach wojskowych i t.d. Pozwalam sobie wymienić kilka interesujących i bardzo pouczających tematów, mających ważne znaczenie zarówno dla Polaków jak i Czechosłowaków, jak np.: znaczenie szlachty, rola kościoła, zagadnienie społeczne i gospodarcze, traktowanie mniejszości narodowych, polityka zagraniczna, sytuacja w dawnych i obecnych zachorach.

Przy tych zagadnieniach powstaje konieczność wzajemnego informowania się, w jaki sposób i jakie osiągnięte postępy w obu niepodległych państwach w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

Szuję, że wykłady na temat powyższych spraw miałyby wielkie powodzenie i wzbudziłyby prawdziwe zainteresowanie w szeregach wojska, które w odległych obozowiskach z wdzięcznością powita wszelkie istotne objawy porozumienia i współpracy naszych obu słowiańskich narodów.

JOSEF URVÁLEK.

Inż. Eug. Ml. w Benson. Z artykułu nie będziemy mogli skorzystać.

Dr. L. Sz. w Newcastle. Nie umiemy.

J. G. Nie będziemy mogli skorzystać.

R. P. w Lizbonie. List doręczyliśmy.

Inż. F. Urv. Zamieścimy.

Z. Ok. w Glasgow. Wydrukujemy.

J. Ok. w Perth. Autor sprawę w nr. 45 „Wiadomości Polskich” wyjaśnia.

P. K. w Perth. Wiersz „Czekamy!” nie nadaje się do druku.

H. Op. w Perth. Sobarański: London, W.I. 14. Albenarle Street; Słonimski: e/o Hilda Jordan, „Hildens”, Tring, Herts.; Malczewski: Rio de Janeiro, rua Djalma Ulrich 67.

## Składajcie na FUNDUSZ OBRONY NARODOWEJ

Adres: Wydział Radów of Polish Army, Buckingham Palace Road (Rubens), London, S.W.1

Redaktor: ZYGMUNT NOWAKOWSKI

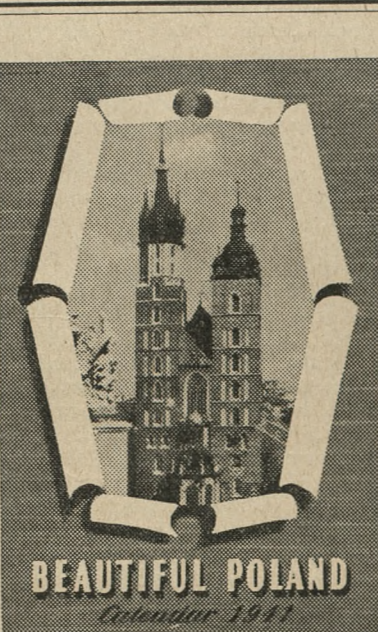
Printed in Great Britain for M. I. Kolin (Publishers), Ltd., by Williams, Lea & Co., Ltd., Clifton House, Worship Street, E.C.2; Published every Wednesday at 36, Great Russell Street, London, W.C.1.

## KALENDARZ ŚCIENNY NA ROK 1941

Zawiera 52 fotografie obrazujące piękno Polski. Opracowanie graficzne: Lewitt - Him (format plansz 21 cm × 21 cm)

Cena 4/6

Do nabycia w księgarniach firmy M. I. Kolin (Publishers) Ltd.



BEAUTIFUL POLAND Calendar 1941

brną nogi za pas, czy czekać i strzelać? Aż tu przybiega jakiś podechorzący, taki młodziutki, różowy, ładny chłopiec, i woła: „Bedziemy się bronić, koledy; jak zginiemy, to razem!”. Padł koło mnie w piasek, zarzepakował karabin, pierwszy otworzył ogień. Z godzinę my tam wytrzymałmy — nagle podechorzący dostał kulę w same czoło. Osunął się, splaszyl bezwładnie na swym karabinie. A taki był młodziutki, pewnie i dwudziestu lat nie miał, taki śliczny. To teraz na każdego naszego młodogo podechorząka patrzę zawsze z sympatją.

Zyma się Pawłuk mówiąc o Niemcach, okropnie ich nienawidził.

— Za co? Za tego chłopaka zabitego nad szosą?

— Wojna jest na to by ludzi ginęli. Szkoła mi podechorzągo, ale Niemiec, który go zastrzelił, był w porządku. Widziałem straszniejszą rzec: na polu pasły się krowy; nadleciał samolot niemiecki niezłutko, z cekaem wystrzelał wszystkie krowy; i leżały w krwi, pokotem, kochane bydlatka, jak te niemowlęta pomordowane przez Heroda.

Strzelanie do ludzi na wojnie może mieć jeszcze jakieś usprawiedliwienie, ale niewinne stworzenia bez potrzeby zabijać — może tylko zwierzę.

Gdy ktoś w kompanii koniecznie potrzebuje szyla, gdy już wszyscy odmówią mu pożyczki — ostatnią portmonetką ratunku jest Pawłuk. On zawsze ma i zawsze służy. Jedyną jego wadą jako wierzyciela jest, że domaga się późnej zwrotu.

— Skąd ty masz forsę? — dźwięią różne matoly.

Z oszczędności. Pawłuk nie pije, nie chodzi ani do kina, ani na „fish and chips”, pali dziennie tylko sześć rzeczy skronczonych papierosów. Czyli zółd w cystych, dobrą rozproszonych papierkach chowa do pułarek. I uśmiecha się na myśl, że ma już 20 funtów. Tłumaczy mi:

— Przecież ja zarabiam teraz 120 złotych miesięcznie! To bardzo dużo. Nigdy w życiu tyle nie zarabiałem. Kto połowę tego miał miesięcznie na Polesiu, to już — ho, ho — był najlepszą partją w powiecie.

Przymyka oczy Pawłuk, roznosiła mu się twarz, i głośno marzy:

— Skończy się wojna za rok. Wrócimy do Polski. Będę miał około 70 funtów, zaraz się zwolnię z wojska i do domu, do Bereźnicy. Kupię tę łakę od Wasyla — wiesz, co przy drodze?

— Nie pamiętam.

— Jakto? Wzdłuż niej musiały jechać? Niemożliwe byś nie zauważył — tam najszersza trawa w całej Bereźnicy. No i rozejrzyj się za żoną. Może Paraska, ładna dziewczyna, będzie jeszcze wolna, a może Marusia, soltysova córka, eh, albo i inna jaka, dziewięć na zabrać...

Skąd ta pewność że wróci, że Bereźnica stoi, że łakę będzie jeszcze istniała, że wojna się szczęśliwie skończy? Pawłuk macha na mnie tylko lekceważąco ręką:

— Ach, co ty tam wiesz? Tobie od myślenia, od tej nauki, od tych gazet, w głowie się pokręciło. Zobaczysz, że będzie Polska, że wrócie, że będę miał dom, łakę i żonę.

I Pawłuk raczej uwierzył, że jutro będzie dzień bez zbiorów niż że którakolwiek z tych wymarzonej rzeczy się nie ziszi.

KAROL ZBYSZEWSKI.

## POLESZUK

### z cyklu „Żołnierze których znam”

— Gdzie urodzony? — zapytał sierżant starszego strzelca Pawluka, spijając w Szkocji po raz 37-y ewidencję kompanii.

— W Wielkiej Bereźnicy.

— Znam tę wieś. — Wtrącił się, — jest rozłożona wzdłuż długiej, bez końca drogi; piasek straszny, ludzie uprzejni, cerkiew poprzedku, świetny kowal, kuźnia blisko sklepiku z wódką i kielbasą.

Shp soli, który zastąpił Lotowi jego nieznosną żonę, był ruchliwym stoworem w porównaniu z Pawlukiem. Oniemiał ze zdumienia. Od czasu opuszczenia Polski nie spotkał nikogo, coby znał jego wioskę zagubioną na Polesiu jak podanie o urlop w dowództwie.

— Ty jak? ty skąd wiesz? ty kiedy tam byłeś?

— Byłem na motorze trzy lata temu...

— Ach, to więc ty wtedy tak kłależ!

I Pawłuk opowiedział całą moją historię. W gorący, letni dzień motocyklist przepchał się przez piaszczystą drogę Bereźnicy. Pośliznął się, wyrzwał o kamień, pedał odleciał. Zbiegli się ludzie, a motocyklista stoi nad motorem i klnie aż dźwięczał smok z zachwytem. Myśleli gospodarze, że to starosta jakis albo i sam wojewoda — ale gdy go do kuźni zaprowadzili, goj kowal Michajło w pół godziny pedał zeschwysował — pokazało się, że motocyklista nie dygnarżat żaden, ale swój chłop. Kupił litr wódki, lokięć kielbasy, szpil kowala, przegodnych gości, kawalów napowiadali i pojechał. Rozpedzeni zaś gospodarze pili dalej, aż policjantowi znalazła się noga. Była o to sprawa sądowa, lecz nie udowodniono czyja kłonica tam działała. Nastka, córka soltyasa, też podobno wtedy właśnie zaszła w ciążę.

Zlamany pedał wrył się zatem w kroniki Wielkiej Bereźnicy niezmom Kleopatry w historię Rzymu. Pedał zbliżył mnie też z Pawlukiem.

— Czy Warszawa jest podobna do Paryża?

— Pytał.

— Him, niezupełnie.

— A Lwów, Kraków?

— Jeszcze mniej.

— Ciekawo jak też one wyglądają? Może jak Glasgow?

Pawłuk zna w Polsce Stolina. Był też w Łucku. Pożatem nigdzie. Pierwszy raz w życiu jechał koleją — do wojska, jako podporow. W okresie służby zwiędzał Łuck, poczem wrócił do swej Bereźnicy. Wojna wzrosniowa przemyciła go wraz z pulkiem między większymi miastami, wypełniała na Węgrzy. No i pierwsze wielkie miasto jakie zobaczył w życiu — to Paryż.

— Piękniejszy od Stolina! — przyznaje.

— Nie błądziłś w nim?

— I jak jeszcze! U nas po haszeczach, moczarach, wśród rozwidlen rzeki — trafił na kładkę, to też sztuca. A jak nie trafisz, to buch w bagno. Zawsze przeciw znalazłem drogę. A w tym Paryżu, choć sucho wszędzie, choć światła — ani rusz. Chodzę, chodzę — i wciąż na kwatere wrócić nie mogę. Że też takie wielkie miasta ludzie budują!

— Będiesz miał co opowiadać, gdy wróciś do domu.

— U nas we wsi paru starszych ludzi znają Kijów. Byli tam — jeszcze z ruskich czasów. Ale w Paryżu? Nie śniło się żadnemu. Nie uwierzą mi. A ja nawet kartki z widokiem Paryża nie mam. O miasto! Ani jednego drewnianego domu w nim nie widziałem.

W poprzednim 6-stronowym numerze (44) „Wiadomości Polskich” (13 ilustracji): Zygmunta Nowakowskiego: Byłem w Polsce. — Ksawery Pruski: Prasa polska w obozach. — Antoni Słonimski: Popiół i wiatr. Opowieść o minionej młodości i o utraconem miście. Fragmenty poematu (rysunki Feliksa Topolskiego). — Skarbnica Polska. Eliza Orzeszkowa: Ognia. Tadeusz Miciński: Ananke. Ignacy Krasiński: Żona modna. — Florian Sokół: Lord Halifax. — Tadeusz Kielpiński: Pierwotny grzech Lavala. — Stanisław Mackiewicz: Ś. p. Mieczysław Niedziński. — Gustaw Gada: Rzeczy polskie w prasie brytyjskiej. — Alfa: Rozmaitości. — Korespondencja. — Sigrid Usdset o Niemcach i bolszewikach.